№ 32. Warszawa, dnia (25 Lipca) 6 Sierpnia 1898 roku. Rok XI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu z szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz z szpaltowy garmontu kop. 50.

KORESPONDENCYA.

Wisła, d. 21 Lipca 1898 r.

Tym, co szarą Wisłę naszą znają jako poważną macierz-karmicielkę niw i pól, jako olbrzymią zwierciadlaną taflę, w której odbijają się mury i wieżyce Warszawy, którzy znają ją tratwonośną, szeroko rozlaną, w chwilach gniewu groźną i huczącą głucho, tym wszystkim opowiedzieć pragnę o Wiśle-potoku, o Wisełce młodej i pienistej, skaczącej z kamienia na kamień, o świeżo narodzonej w tajemniczych głębiach Beskidu, i iskrzącej się ku słońcu, królewnie rzek naszych.

Będziesz miał, czytelniku, wrażenie, jakgdyby ktoś jął opowiadać ci o dziecinnych i młodzieńczych latach sławnego, a kochanego człowieka.

Chodźmy więc do źródeł jej, do miejsc, w których rodzi się ta szara wstęga, ta błyszcząca przepaska ziemi naszej!

Szczyt góry Baraniej wznosi się podobno na 1,214 metrów ponad poziom morza. Z *wyrchu* tego roztacza się widok na dwa niepodobne do siebie światy: w stronie północnej bez brzeżna płaszczyzna przerżnięta siecią rzek— od południa góry, góry i góry! Równinę stanowią: zachodnia część księstwa Cieszyńskiego i wschodni pas Szląska Pruskiego, w dali zaś południowe obszary Królestwa i północno-zachodniej Galicyi.

Góry widzialne ze szczytu *Baraniej* to Karpaty galicyjskie i węgierskie z łańcuchem olbrzymich Tatr. W stronie zachodniej Beskid spływa ku Sudetom morawskim.

Spokój tu niezmierny i cisza. Dokoła po górach lasy i lasy olbrzymie, głębokie, ciemne i prawie niedeptane stopą ludzką. W tych górach, będących prywatną własnością arcyksięcia Albrechta, niema chat góralskich, ani szałasów pasterzy, niema też hal, na których wypasać by się mogły trzody, wszystkie bowiem puste miejsca zasadzono drzewami. Puszcza — i tylko orły górskie kołyszą się w przestworzach błękitu.

W ciszy, jak wszystko, co wielkie, rodzi się Wisła.

Nie u samego szczytu, lecz bardzo niedaleko od niego, na południowej pochyłości góry spotykamy jeziorko wielkości dwóch metrów kwadratowych. Czarnemi kroplami sączy się doń woda, wydobywająca się z wnętrza góry. Cokolwiek niżej znajduje się drugie takie jeziorko połączone z pierwszem. Lud tutejszy nazywa te jeziorka *wykapami*. Do wykapów tych spływają ze wszystkich stron maleńkie strumyczki. Woda przepełnia brzegi jeziorka i zbiega hyżo w dół. To początek t. zw. Czarnej Wisełki. Strumyki zasilają ją tak obficie, że o kilometr poniżej w Przysłupiu, Czarna Wisełka jest już potokiem, dosyć szerokim i niosącym sporo wody. Nawet zręcznemu, gibkiemu góralowi dosyć trudno byłoby potok ten przeskoczyć.

Na przeciwległej, to jest północnej stronie góry Baraniej, w tej samej niemal odległości od szczytu co wykapy Czarnej Wiselki, znajdują się źródła Białki, czyli Wisełki Białej. Źródeł tych jest wiele; są przytem ruchome, wysychają w jednych miejscach, ukazują się w innych. To też trudno bardzo oznaczyć ściśle, które z nich właśnie jest źródłem. Lud tutejszy uważa zdrój t. zw. „Pod skałką" za miejsce narodzin Białki. Północną pochyłością *Baraniej* wszystkie te wody spływają do parowu pod *Magórką* i złączone razem dążą ku zachodowi.

Czarna Wisełka i siostra jej Białka to córy jednej macierzy—mówi lud tutejszy.—Jednocześnie urodziła je matka-góra i kazała im rozejść się w przeciwne strony. Posłuchały córy, ale tęsknią wzajem do siebie i pragną spotkać się znowu. Czarna Wisełka melancholijna, uwięziona między górami, na których stoczach wznoszą się ciemne lasy świerkowe rozjaśnione tylko gdzieniegdzie świeżą zielenią buków, toczy wody swe dosyć wolno i bieży na dół z płaczem a jękiem. Lica jej ciemne—w głosie tęsknota.

Śmieszka z urodzenia, swawolna Białka leci żywo ku siostrze swojej, ale na płacz jej się nie zbiera bynajmniej. Ze skały na skałę spada z szumem i pluskiem w niezliczonych kaskadach, rozsypując się na miliony brylantów. W gwarze wód jej śmiech słychać radosny. Raduje się Biała Wisełka słonku Bożemu, które stroi ją w blaski, i w kroplach jej miliony iskier załamuje, cieszy się lasom i górom, olbrzymim trawom i paprociom rosnącym nad jej brzegami, cieszy się siostrze Wisełce Czarnej, z którą po krótkiem rozłączeniu pod górą zwaną „Czarny" zlewa się w jedną całość, by odtąd już nierozdzielny wieść żywot.

Widziałam obydwie legendowe córy Beskidu, i może pod wpływem zasłyszanego podania wydało mi się, że fala Czarnej Wisełki naprawdę płacze, że tego potoku dusza naprawdę jęków, tęsknicy i tragicznych okrzyków a szamotań się beznadziejnych pełna. I widziałam tamtę białą, jasną, tamtą śmieszkę pląsającą po kamieniach i słońcu złotemu śmiejącą się w oczy... I przypomniało mi się miasto, którego dusza także jakby z dwóch pierwiastków jest złożona—miasto, które jak bóg stary dwie twarze zdaje się posiadać, jedną poważną, o czole chmurami okrytem, o oczach łzawych, o ustach lejących pieśń natchnioną, a drugą płochą, spojrzeniem zalotnem wabiącą ku sobie. Ta druga twarz usta ma wykrzywione błazeńskim uśmiechem, a słowa, które z ust tych wychodzą, choć wesołe, bolą—bolą czasem jak... bluźnierstwo.

I przypomniałam sobie, że to miasto stopy swoje w połączonych wodach dwóch Wisełek kąpie, i obydwiema twarzami w falach ich się przegląda...

I przyszedł mi na myśl lud, w którego pieśni naprzemiany to płacz, to śmiech się od-

zywa... I przypomniałam, że ten lud Czarnej i Białej Wisełki wodę pije...

Oj, źródła Wisły, zaczarowane wy źródła, jakiż tam duch przeznaczeń w wodach waszych żyje?

Potoki wy skalne! któż to po waszych falach te dwie melodye wieszcze, wróżebne melodye dwie, smutną i wesołą wygrywa?..

Połączone ze sobą wody Czarnej i Białej Wisełki noszą już poważne imię Wisły. Wisła wzbogacona dopływem potoków *Kopidła* i *Dziechcina* z lewej, a *Malinki* z prawej strony, wkracza w największą i najpiękniejszą ze swoich dolin, będącą ogniskiem całej gminy noszącej także nazwę Wisły. W dolinie tej otoczonej wysokiemi górami: Kamienną, Bukową, Skalnitym Wyrchem, Czajką i Czantorją wznoszą się dwa podobne do siebie strukturą kościołki: katolicki i ewangelicki. Tutaj także zebrało się w gromadkę sporo chat góralskich, tu znajduje się coś w rodzaju hotelu i restauracyi, poczta, sklep z towarami wszelkiego rodzaju, tu są piekarnie, jatki i szynki. Wszystko to razem nadaje całej tej miejscowości pozór miasteczka.

Poza kościołem katolickim Wisła skręca nieco na lewo, przyjmuje w siebie nowy dopływ—Jawornik, potem znów zwraca się na prawo pod Czantoryę, i wreszcie wkracza na terytoryum gminy Ustroń. Od Baraniej do Ustronia przebiega Wisła 22 kilometry. Rozległość gminy „Wisła” wynosi 7 mil kwadratowych. Od strony północno-wschodniej graniczy ona z gminą Brenna, od południowo-wschodniej z Galicyą, od południowo-zachodniej z gminą Sztebną, od północno-zachodniej z gminą Ustroń.

Od północy osłonięta górami piękna ta dolina, posiada klimat łagodny, powietrze zdrowe i czyste, i prawdopodobnie będzie kiedyś licznie nawiedzaną przez poszukujących odpoczynku i kuracyi klimatycznej. Niema tu niedostępnych, dzikich, porywających ogromem swoim szczytów Tatrzańskich; nastrój przyrody miększy tu, łagodniejszy, i dlatego właśnie na niektóre organizacye nerwowe dodatniej wpływać może, niż surowy, skalisty świat Zakopanego.

I tu zresztą nie brak widoków imponujących. Ciemna Czantorya tak dumnie wznosi się ku chmurom, tyle jakiegoś groźnego tajemniczego wyrazu ma w sobie, że obcy przybysz nie dziwi się podaniom, któremi lud tutejszy osnuł jej czoło.

We wnętrzu Czantoryi śpią rycerze — oto jest jądro legendy.

Posłuchajmy jednak:

Na Czantoryi pasał był owce mały pastuszek. Pewnego razu zauważył on, że brak mu jednej owieczki, ale napróżno starał się odnaleźć zaginioną. Pod wieczór wróciła z pełnymi bokami, najedzona doskonale. To samo zdarzyło się nazajutrz i dni następnych. Dziwił się chłopiec i odgadnąć nie umiał co się z tą owcą codzień działo. Postanowił śledzić ją i jednego ranka krok w krok chodził za nią.

Owca zaprowadziła pastuszka do głębokiej jaskini. Stały tam przy żłobach posiodłane rumaki, a obok nich, na ziemi, spali zakuci w zbroję rycerze.

Tym to koniom wyjadała owca ze żłobów obrok i siano i syciła się wybornie.

Chłopak stał i patrzał, i dumał... Aż nagle strach go ogarnął niepojęty. Porwał się z miejsca i jął uciekać z jaskini. Przy samem wyjściu potrącił jednego ze śpiących. Zbudzony znów na spoczynek się ułożył.

Przerażony chłopiec uciekał z całych sił, uciekał nie oglądając się za siebie. To też gdy później o tem dziwowisku rozpowiedział ludziom, a ci pytali, którędy droga do jaskini, chłopiec nie mógł jej wskazać. I nie dowiedzieli się ludzie gdzie jest wejście do wnętrza Czantoryi, do głuchej pieczary, kędy snem wiekowym śpi zastęp rycerzy.

Niechże śpią cicho, a świerki i jodły Czantoryi niechaj szumią nad nimi!

Mnie zakończyć czas! W przyszłym liście opowiem może o ludziach, mieszkającym u źródeł Wisełki.

Wanda.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Ho, ho, co za frazesa! Po pierwsze, żadnych dobrodziejstw nie świadczyłam. To sobie miej za zasadę, że kogoś ustrzedz od zmarnowania, albo pomódz w potrzebie, to żadna osobliwość przed Bogiem i sumieniem— to elementarny obowiązek, i jak ty kiedy to spełnisz, to ani z tego chluby nie szukaj, ani wdzięczności wyglądaj. Ludzie zrobili z tego cnotę, a u Boga, wierz mi, to nie ma liku. A wdzięczność—za co? Oto właśnie, to wyglądanie nagrody, zapłaty, pokazuje jak ludzie wykoszlawili pojęcie obowiązku.

— To też ja nie będę pani ani dziękować, ani płacić, ale przez pamięć pani, przez cześć, jaką mam dla niej, pójdę za panią tą samą ścieżką. Sławy nie chcę, imienia głośnego nie chcę, i jak mi pani była mistrzem wszelakiej mądrości, tak ideał pani będzie moim celem. Nie wdzięczności mojej dla pani, ale zasadom pani będę służyć. Jadę jutro — zdam egzamin, a od Nowego Roku sprowadzę się z matką do miasteczka, i tak będę swe powołanie spełniać, jak je pani rozumie.

Pani Taida pochyliła się do niej, wzięła w obie dłonie gorejącą głowę dziewczyny i przycisnęła do piersi. Była tak wzruszona, że nic na razie nie rzekła, dopiero po chwili się ozwała.

— A gdy ci to wystarczy, bądź pewna szczęścia, bo niema marnych placówek, ani obowiązków—są tylko marni ludzie.

XII.

Gdy Ozierskie osiadły w miasteczku, zawrzało w okolicy, jakby kto kij wetknął w mrowisko. Odrazu wszyscy dali sobie słowo, że u „baby” leczyć się nie będą. Rzecz dziwna, że najbardziej oburzone były kobiety, jakby je spotkała osobista obelga i hańba, jakby Stasia okryła wstydem całą płeć kobiecą. Naturalnie też drwiny i różne niesmaczne żarty i koncepta wychodziły od Fijolskiego, a ztamtąd mężczyźni kolportowali je po całej okolicy. Kumoszki miejskie z panią Klarą Wawelską na czele poczęły znowu szkalować Stasię, opowiadać o niej skandale, wymyślać niestworzone rzeczy na jej obyczaje.

Jednem słowem wrzało jak w garnku, tylko one same najmniej o tem wiedziały, zajęte urządzaniem się na nowej siedzibie.

Za parę tysięcy rubli nabyła Ozierska opodal rynku mały domek z dużym ogrodem, resztę swych kapitałów powierzyła Kaziowi, i zachwycona taniością życia, własnością ziemską, oddała się cała uprawie ogrodu i doprowadzeniu do porządku domu.

Procent wystarczał im tutaj do zupełnie wygodnego życia, o byt tedy były bez troski.

— Tylko pacyentów nie będzie!—śmiali się wszyscy.

Ale pierwszej zaraz Niedzieli, chłopi przybyli na targ ze strony Rudy, poczęli czegoś szukać, chodzić od domu do domu, rozpytywać, i choć ich zbywano fukaniem lub drwinami, trafili do „panienki.”

Aptekarz zdumiał, gdy mu tegoż dnia trzech chłopów przyniosło recepty ze śmiałym podpisem: „Dr Stanisława Ozierska.”

W aptece dużo ludzi było, był też i Fijolski. Obadwa obejrzeli recepty podrwiwając, a aptekarz rzekł do jednego z chłopów.

— To od kaszlu dostałeś lekarstwo?

— Nie, to od febry.

— Tu stoi krople od kaszlu.

Poczęto się śmiać i ktoś spytał:

— A dużoś dał za tę poradę?

— Nic!—odparł chłop.—A krople niech pan mi da. Ja pewny, że pomogą. My tę panienkę już znamy. Ona jest chłopski doktór; od progu nie odpędzi nikogo, a że pomocna to wiemy.

Aptekarz z doktorem poczęli ze sobą szeptać, ale farmaceuta w końcu głową potrząsnął.

— Nie można! Straszno!—z cicha rozmowę zakończył, i wziął się do sporządzenia lekarstw, a Fijolski wyszedł namarszczony.

Mieszczanka zbliżyła się do chłopów, za nią przysunęło się paru żydków ciekawych.

— Naprawdę mówicie? Darmo leczy?—poczęto pytać.

— A jakże? Grosza nie bierze, a człowieka tak osłucha, opatrzy, rozpyta, jak rodzonego. A na drugiego ledwie spojrzy i wnet nie pytając powie, co mu dolega. Takie oczy jakieś mądre ma, a dobra!

— A jakby „reperacyę” trzeba robić, toby nie potrafiła!—szepnął żyd. — Alboby też kazała płacić. „Reperacya” to drogi interes! — i westchnął.

— Mnie to się nie przytrafiło! — odparł

chłop—ale jedna kobieta od nas, jeszcze przeszłego lata, leżała miesiąc u pani z Rudy, w szpitalu nieboszczki panny Dysi, a miała wrzód jak bochen chleba, a to ją nie kto wyleczył a panienka.

— Wrzód? Ja właśnie „jego" mam!—jęknął żyd.

— Nu, to idźcie do niej! - zakończył chłop, biorąc lekarstwo i wychodząc.

— Niesłychane bajki. Darmo leczy!—mruczała mieszczanka zdumiona, zbierając się też do domu.

Po ubogich domkach i kletkach żydowskich gruchnęła wieść bajeczna. Ktoś nie brał pieniędzy za poradę. Wskutek tego już popołudniu zjawiło się kilka żydówek do dworku Ozierskiej. Nie wierzyły one w doktora kobietę, bały się Fijolskiego obrazić, więc prawie pokryjomu przyszły, ale pokusa daremnego leczenia była nad wszystko mocniejsza.

I oto po kilku dniach tłok pacyentów miała Stasia. Co prawda pacyenci ci nie przyjeżdżali własnymi powozami, a nawet nie byli obuci, a Ozierska patrzała ze zgrozą na tę wystawę łachmanów, łat, dziur, brudu i dzikości, ale Stasia nie zdradziła ni razu wstrętu, ani niechęci. Z największą cierpliwością i poświęceniem opatrywała najnędzniejszych, tę tylko czyniąc między nimi różnicę, że kto miał koszulę dostawał receptę do apteki, kto takowej nie posiadał, dostawał gotowe lekarstwo za jej pieniądze. W ten sposób pewna była sława i wzięcie, jakoż po tygodniu musiała przybić na drzwiach kartę, z wymienieniem godzin przyjęcia, bo chorzy nie daliby jej chwili czasu ani na jedzenie, ani na sen, ani na czytanie.

— Dzięki Bogu, pozbyłem się fetoru i robactwa! — rzekł Fijolski szyderczo. — Muszę nowemu koledze w spódnicy złożyć wizytę z podziękowaniem, że to sobie raczyła zabrać.

Ale Stasia widocznie nie uśmiercała więcej, niż inni doktorowie, bo liczba pogrzebów się nie wzmogła, a zyskała poparcie w aptekarzu, który począł zbierać żniwo od hołoty, której dotąd żaden szanujący się lekarz nie chciał nawet widzieć.

Skorzystał raz, niby z nieczytelnej recepty i przyszedł do Ozierskich.

Powodzi jego komplementów słuchała Stasia obojętnie, a on wodził chciwemi oczami po ścianach i sprzętach, to znów oglądał ciekawie ją samą, zbierając materyał do wieczornej gawędy u sędziego lub geometry. Bo pomimo ostracyzmu, każdy był ciekawy jak mieszka, żyje, wygląda taka osobliwość doktór-kobieta.

To też wieczorem aptekarz był bohaterem zabawy.

— Czy prawda, że ma włosy obcięte jak rekrut, że pali papierosy?—pytały damy.

— Włosy ma długie — warkocz czarny, a papierosy pali bardzo dobre, drogie — palilem je.

— A ładna?

— Przystojna, zgrabna, wysoka, tylko snać ostra i pyszna, i wielkie ma o sobie rozumienie. Gdym jej winszował praktyki, popatrzała z góry, domyśliła się, że żartuję, i powiada:

— Owszem. Rada jestem z moich pacyentów, i tak właśnie sobie życzyłam.

— Ale to państwu powiem, że ma szafę z narzędziami—cudo! W Warszawie najpierwszy chirurg takąby się szczycił. Książek też pełno i pism w różnych językach. Widać, że dobrze się mają. Mówiła mi, że konia mieć będzie, żeby po wsiach jeździć.

— Musi ktoś za to wszystko płacić—rzekła zjadliwie pani Klara Wawelska, która o ile sama szczyciła się swą cnotą niegdyś, o tyle teraz ogadywała każdą.

— Et, licho wie co pleciesz! — wtrącił jej mąż. — Po pierwsze nikt tam taki nie bywa, a po drugie pani Skarszewska takąby się nie opiekowała.

— Opiekuje się i pani Skarszewska, i pan.

— Kto znowu? Pan Kazimierz. A któż go tam widział? Opamiętaj się, kobieto!

— Właśnie, że go nikt nie widział, to zły znak. Cnota nie boi się jasnego dnia i oka ludzkiego, a występek czai się w nocy.

Wawelski wybuchnął śmiechem.

— To on po nocach ma bywać. Cztery mile z Rudy lecieć tu i napowrót. Już też wymyśl kogo bliższego.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PARYŻ.

Emila Zoli.

SPRAWOZDANIE.

Ostatnia część trylogii Emila Zoli od jakiegoś czasu już stoi przed sądem krytyki literackiej i, co dla niej ważniejsze o wiele—przed sądem czytelnika. Dwie pierwsze jej części odmienne nieco spotkały losy, niż tę, o której słów kilka sprawozdawczych mamy do powiedzenia. „Lourdes" krytyka wogóle przyjęła ozięble, a czytająca publiczność, gotowibyśmy powiedzieć—wprost niechętnie, „Rzym" natomiast w szerokich kołach intelligencyi całego świata znalazł wiele sympatyi i uznania—więcej niż którekolwiek z dotychczasowych dzieł tego oryginalnego pisarza. I gdyby był Zola utrzymał się w tonie, gdyby się nie był pozwolił skusić manierze swojej, „Rzym" byłby rehabilitował i „Lourdes," i wiele może innych grzechów całego dawniejszego okresu jego twórczości. Realista drobiazgowy, zdawało się, że zerwał w „Rzymie" zupełnie z suchą obserwacyą faktów—że dał się porwać idei, podniósł do roztrząsania zagadnień prawie że niedostępnych dla romansopisarza, i gdyby nie dwa epizody—dwa nieszczęśliwe prawdziwie dla utworu zboczenia na manowce, dzieło zyskałoby sobie niewątpliwie miano pomnikowego. Niestety! nie tak to łatwo odrzucić od siebie te „grzechy żywota." Dwa czysto pornograficznego charakteru rozdziały—w dodatku rozdziały niczem w tej całości nieusprawiedliwione i żadną psychologiczną koniecznością nie wywołane, psują nastrój, obniżają rozdźwiękiem zgrzytliwym harmonię całości, zacierają wysoce dodatnie wrażenie, jakie niewątpliwie wyniósłby czytelnik po zapoznaniu się z tym utworem.

Powieść nie jest traktatem, i jako taki sądzoną być nie powinna. Cokolwiekbądź z wyłącznego punktu zapatrywania chciałby kto zarzucić tendencyi „Rzymu", byłyby to zarzuty nie na miejscu. Czytającemu idzie o to, czy zasada w imię której występuje bohater powieści, jest w istocie swojej etyczną lub nie—czy intencye tego, który wypowiedział istniejącemu porządkowi walkę bezprzykładnie zuchwałą ze względu na hierarchię, były czyste, czy też powodował nim interes lub ambicya osobista. Skoro tylko widzi go ten czytelnik wolnym od podobnego zarzutu, skoro zmusza nas autor do uwierzenia w czystość pobudek i podniosłość celów poślubionych—reszta nie należy do nas. A przytem nie wolno być czytelnikowi nawet najbardziej krańcowych przekonań, surowszym od hierarchii duchownej, która potępiła działalność reformatorską księdza Piotra Froment. Reforma nie zyskała aprobaty—gorliwość chrześcijańska, pragnienie dobra, potępionemi nie zostały. W akcie kondemnaty uderzono na szkodliwość przedsięwzięcia w skutkach — człowiek pozostał nietkniętym. Dla czytelnika ksiądz Piotr jest i powinien być duszą niepokalanego blasku, wielkiej ofiarności i nieprzebranego pragnienia dobra.

Zgnieciony, upadły na duchu, zrozpaczony, wynosi ksiądz Piotr z porażki swojej całą przychylność naszą, i całą cześć należną odwadze i nieszczęściu.

Ten ksiądz młody, z którym zrobiliśmy znajomość w „Lourdes," to ten sam, którego sprawy wypełniają dzieło zatytułowane „Rzym," ten sam nakoniec, który jest osobą główną ostatniej części trylogii. Zobaczmyż, co z niego zrobił tutaj autor, zobaczmy co wedle niego było psychologiczną konsekwencyą dalszego rozwoju tego charakteru — na czem skończył, i na czem wedle Zoli skończyć musiał ten, który swój zawód zaczął tak szczytnie i tak po apostolsku prawdziwie.

Okropny jest ten Emil Zola, powiedzmy odrazu, w każdem dziele swojem wziętem jako całość. Okropny — pognębiający! Jeśli pokazuje blaski i promienie, to po to jedynie, żeby przedstawić jak się one bez śladu roztapiają w mrokach i ciemności, bo taki niby a nie inny jest ich koniec nieuchronny. Jeśli używa barw jasnych, to po to, aby przekonać, że przeznaczeniem tego, co jasne, a więc czyste, jest służyć za tło temu, co brudzi i szpeci, a wszak na brudzie i szpetności kończyć musi każde dzieło rąk ludzkich, i każdy ducha ludzkiego wzlot ku prawdzie. Jeśli podniesie charakter ponad powszedniość i miarę codzienną, to jedynie po to, żeby miał satysfakcyę zapoznać czytelnika w epilogu z aktem tragicznego zmiażdżenia się istoty człowieczej, spadającej z wysokości, na którą się ona wedrzeć próbowała. Gdybyż przynajmniej .. ale nieuprzedzajmy rozwiązania, a chodźmy raczej z biegiem wypadków, które nam autor przedstawia.

Po powrocie z Rzymu jest ksiądz Piotr w Paryżu, jak się to zwykło określać we Francyi, rodzajem *księdzą mało praktykującego.* Mszę odprawia jeszcze, ale z hierarchią swoją jest na polityce, a monsignor Martha wielki

zelant i kaznodzieja sławny patrzy na niego z ukosa; za nim, rozumie się, i inni, z wyjątkiem jednego tylko księdza Rose. Ten ksiądz to wspaniała postać duchownego. pełnego miłości i przebaczenia chrześcijańskiego, apostoła pojednania i miłosierdzia. Przywiązany oddawna do księdza Piotra z żalem spogląda na stosunek jego do hierarchii duchownej, a z wielką obawą na przełom duchowy, jaki się we wnętrzu tego pokłóconego z powołaniem i z życiem dokonywa obecnie. On widzi to — on przeczuwa, że się ta walka fatalnie rozstrzygnie — on wie, że ta młoda, namiętna, a przesycona goryczą dusza, lada chwila zerwie wszystkie więzy, podepcze zaprzysiężony obowiązek — wywoła zgorszenie pełne następstw ujemnych. Wiedzieć i przewidywać a zaradzić, to jednakże dwie zupełnie odmienne rzeczy. Stary ksiądz tylko łagodzi, tylko zaklina, tylko przejednywa przykładem i ofiarnością tego zadumanego buntowniczego ducha.

Akcya powieściowa właściwa rozpoczyna się poufną missyą, jaką Piotrowi Froment daje ksiądz Rose. Idzie o danie jałmużny niejakiemu Laveuve, który podawany już raz jako kandydat do przytułku dobroczynnego, został przez zarząd po zebraniu wiadomości o jego osobie, odrzuconym. Ks. Rose prosić musi kogoś drugiego o wręczenie tego datku, bo sam nie śmie tego dokonać, jako wielokrotnie już o takie sprawy monitowany przez swoją władzę (jakiem prawem — z jakiej racyi, ani się domyśleć można). Idzie więc ksiądz Piotr, szuka tego Laveuve'a między lokatorami jednego domu dzielnicy ubogiej, i znajduje tam istny obraz piekła na ziemi — piekła nędzy, opuszczenia, a zarazem środowisko wszystkich wrogich przeciw istniejącemu układowi społecznemu uczuć i dążeń. Pytając o Laveuva zachodzi przypadkiem do innej nory, gdzie zastaje pewne małżeństwo i kilkoletnie dziecko. Małżeństwem nazywamy ten związek dla względów przyzwoitości jedynie, bo tu w tej ruderze ponurej żyją sami tylko pokłóceni z porządkiem społecznym, władzą duchowną i obyczajami. Ten ojciec to niejaki Salvat, nędzarz okazowy, wzdrygający się na widok sutanny, niechcący udzielić księdzu żadnych wyjaśnień, niebawem też zabiera on swój worek z narzędziami pracy i wychodzi na miasto. Jest Salvat ważną w powieści postacią, dlatego prosimy o zatrzymaniu w pamięci jego nazwiska.

Po jego odejściu żona daje nieco objaśnień, którychby przy nim dać nie śmiała. Ten Salvat wedle niej, to najlepszy w świecie człowiek, robotnik dobry, ojciec czuły, ale mimo, że chętny do pracy, od jakiegoś już czasu znaleźć jej sobie nie może, i dlatego nędza u nich w domu straszna jest prawdziwie. On codzień obchodzi parę dzielnic, wszędzie ofiarowuje swoją robotę, a jak się tylko dowiedzą nazwiska, natychmiast następuje odmowa Wprawdzie bardzo się interesuje zgromadzeniami robotniczemi, przemawia, agituje, i ztąd panowie pryncypałowie tacy na niego są zawzięci, ale doprawdy to nieocenionej dobroci i łagodności człowiek i gdyby nie to jedno... Ksiądz Piotr zostawia pewien zasiłek pieniężny, i idzie na miasto popierać dalej sprawę tego Laveuve'a, którego znalazł literalnie dogorywającym na garści słomy — dogorywającym z głodu.

W istny labirynt stosunków wprowadzają księdza Froment te poszukiwania. Wprawdzie zna on dobrze wszystkie owe wysokie osobistości stanowiące radę dobroczynną tego przytułku, i sam im jest znany z najlepszej strony, ale że to dla nas znajomości nowe zupełnie, więc słów kilka przynajmniej pobieżnej wzmianki powiedzieć nam wypadnie— przynajmniej o główniejszych z pomiędzy nich. Jest tam tedy bar. Duvillard, podobizna niemal Corneliusa Hertza, typowy panamczyk-organizator, któremu autor zamiast przekopywania międzymorza, każe budować afrykańskie koleje żelazne — jest jego żona semitka pochodzeniem a wyznaniem neofitka świeża zupełnie — kobieta nie pierwszej młodości — pierwszorzędnej mimo to urody, a moralności wcale nie pierwszorzędnej. Ma ona syna Hyacynta, półmistyka, półwaryata, brzydzącego się kobietami jakgdyby ohydą prawdziwą, i córkę Kamillę trochę ułomną, nie ujmującej wcale powierzchowności, z którą łączy ją związek krwi, a dzieli aż do nienawiści rywalizacya dla Gerarda de Quinsac, dosyć sobie zwyrodniałego potomka znakomitej starej rodziny szlacheckiej. Kto zna drapieżną manierę Zoli, ten łatwo się domyśli, wiele to on wstrętnych obrazów wyhaftować potrafi na kanwie takiej błotnistej między matką a córką konkurencyi; my, rozumie się samo z siebie, darujemy szczegóły wszystkie, ograniczając się do zapewnienia, że wielki rozgrzebywacz śmietników obyczajowych Francyi dzisiejszej, stanął i ten raz jeszcze na wysokości swego założenia, i swojego specyalnego w malowaniu podobnych obrazów talentu. Tak tedy wygląda gniazdko plutokratycznej rodziny Duvillard. Nic tam nie brak. poczynając od cnót rodzicielskich — od ojcowskiego gründerstwa finansowego i jego słabości do aktoreczki Sylviany, której kaprys wystąpienia w Pollyeukcie, przy opozycyi ministra sztuk pięknych, pociąga za sobą obalenie gabinetu — od mamy baronowej, potwora prawdziwego, przynoszącego wstyd kobiecości i macierzyństwu, aż do tych dwojga młodych, zwyrodniałych istot, bez jednej strony dodatniej — jednego uczucia ludzkiego — jednego szlachetniejszego drgnięcia i popędu. A tymczasem ten baron Duvillard, ta potęga prawdziwa, to wielki matacz milionów, wielki korruptor charakterów i sumień ludzkich — to siła, która włada, potrąca, wynosi, pomiata...

Co tylko jest nieprawości w dzisiejszej przemocy kapitału, to wszystko połączył Zola dzięki doskonałości swojej techniki w tej obrzydłej rodzinie.

Jest tam w tym komitecie dobroczynnym i więcej jeszcze osób, a każda z nich bogata jako typ — nieporównana jako charakterystyka i przyczynek do przyszłej historyi znieprawienia i upadku dzisiejszej Francyi. A więc dziennikarz Fonsegue, niby rygorysta, niby człowiek zasad i stróż moralności w sprawach publicznych, a w gruncie rzeczy szczwany kmotr, odrzucający drobne korzyści, a czekający na wielką szacherkę i wielkie przekupstwo, któreby jego cnotę opłaciły jak należy — jest deputowany Chaigneux, poniżony łapownik, dla którego niema sprawy dosyć brudnej, aby się od niej odwrócić, jeśli tylko dołączony do niej będzie banknot tysiącofrankowy. Jest i inny deputowany Dutheil, żywa tamtego antyteza na punkcie wyboru środków i formy przekupstwa, ale sumienie jeszcze nikczemniejsze w gruncie rzeczy. Ta też między nimi różnica tylko, że Chaigneux narzuca się, żebrze i chwyta resztki z pocałowaniem ręki, a Dutheil świeci, pływa po powierzchni życia, zmusza aby się o niego dobijano i zbiera tysiące tam, gdzie ten sługus pieniądza dziesiątki zaledwie dla siebie wyława. Jest i księżna Rosamonda Harth, kobietka szukająca wrażeń, w obecnem stadyum swoich upodobań stojąca po stronie anarchistów, pełna kaprysów i zachcianek godziwych i niegodziwych. U niej szuka po wielu odsyłaniach od Annasza do Kaifasza, ksiądz Piotr ratunku w swoim kłopocie, więc pomimo że zebranie jakie daje ta kochana księżna ma jako *great attraction* taniec maurytanek, który policya wygnała ze wszystkich *café-chantants*, a który dla jej książęcego salonu i dla jej konwiwów jest akurat do miary i smaku — pomimo to poczciwy Piotr Froment nie namyśla się ani chwili i przekracza ten próg uksiążęconych uciech egzotycznych. Tańca nie widział, sprawy w tym tumulcie nie załatwił — co ważniejsza nie załatwił jej aż za miesiąc, a tymczasem oczekujący na miejsce w przytułku Laveuve umiera sobie z prostego wycieńczenia tego samego jeszcze dnia.

No! piekło na ziemi — piekło prawdziwe sprzeczności i przeciwieństw, zbytku i nędzy, rozpusty jednych, a rozpaczy drugich — orgii użycia i tłumionych uczuć nienawiści, oczekujących jednej iskierki aby wybuchnąć.

Wychodząc z tego hotelu pańskiego przychodzi jednak księdzu Piotrowi odnowić pewien stosunek familijny — ba, rodzinny — najbliższy nawet, a odnawia go, przyznać należy w nader szczególnych okolicznościach.

(Dalszy ciąg nastąpi).



2 Sierpnia 1898 roku.

Jeśli wielki świat tutejszy przebywa od miesiąca po zamkach i zakładach kąpielowych, za to dziś dopiero, gdy to piszemy, rodziny paryzkie wybierają się na gwałt do morza lub na spoczynek wiejski. Przyczyną tego, że wakacye szkolne rozpoczynają się nie prędzej jak w pierwszych dniach sierpnia.

Ztąd też w ciągu ostatnich dwóch tygodni, w magazynach tutejszych zapanował ruch niezwyczajny. Po świetnych strojach wystawianych tam na zabawy kwiatowe, wy-

ścigi konne, wieczory i koncerta, ujrzeliśmy teraz ogromny zbiór praktyczniejszych ubiorów letnich, niemniej wytwornym nacechowanych smakiem. Te będą przedmiotem naszej dzisiejszej korespondencyi.

W formie żakietu żadna nie zaszła zmiana. Spódnice zawsze krajane okrągło, bardzo płaskie z przodu i po bokach U wielu dany szeroki wolant, dochodzący do ziemi, w tyle szeroko podniesiony, krajany także okrągło, to sprawia, że na przyszyciu prawie zupełnie płaski, u dołu roztacza się rzęsisto U innych sukien widzimy po pięć lub sześć wolancików krajanych również okrągło. Upowszechniają się coraz bardziej spódnice otwarte na przodzie albo z boku; otwór u nich powleczony grubą gipiurą na kolorowej materyi. Staniki zawsze mocno wycięte, z obojczykiem koronkowym lub muszlinowym.

Do nowości tegorocznych należą suknie białe, widać je nawet na ulicach paryzkich, czego dotąd nigdy nie bywało. Przygotowano ich bardzo wiele na ranne przechadzki do morza, widzimy je z dryliszku angielskiego, z cienkiego sukienka, z alpagi lub piki w prążki poprzeczne. Na wieczorne zabawy i koncerty służą głównie suknie z fularu *surah* i z tak zwanego płótna jedwabnego; jest to także rodzaj fularu, wyrób bardzo miękki i połyskujący. Wiele też ukazuje się sukien białych muszlinowych, przybranych haftem lub wstawkami z gipiury.

Pod suknie kolorowe używane powszechnie spódniczki białe, czy to z cienkiego perkalu i półbatystu, czy też z alpagi. Te ostatnie dłużej dają się nosić, a odświeżenie ich mniej kosztowne, niż pranie perkalowych, zdobnych zazwyczaj haftem i wstawkami. Słowem barwa biała na wszystko dziś przyjęta, zarówno na parasolki, na trzewiki, pończochy i rękawiczki. U wełnianych sukien kolorowych wyłogi zawsze białe z cienkiego sukienka, u strojniejszych plastrony i wielkie kołnierze białe gipiurowe, z takąż fryzką dosyć rzęsistą.

Gotowe suknie i kostyumy, jakie widzieliśmy w magazynach Luwru, Bon Marché, Printemps i t. d. dzielą się na trzy kategorye. Jedne z nich na rano, drugie na dzienne przechadzki, trzecie na koncerty i wieczorne zebrania w kasynie. O każdym z tych rodzajów powiedzmy coś z osobna.

Na chłodne poranki u morza przygotowano najwięcej kostyumów z letniego sukienka, w kolorach: piaskowym, jasno-popielatym (gris perle), heliotropowym i białym. Oto opis tych, które zwróciły szczególniej uwagę naszą.

Kostyum z sukienka jasno - popielatego. U dołu dana ukośna plisa biała sukienna, przeszło na pół ćwierci łokcia, po niej przechodzą od dołu do połowy wązkie patki z popielatej pletni, przerabianej nitką stalową; każda przytwierdzona w górze małym stalowym guziczkiem. Westka do tego popielata otwarta, przody objęte plisą białą sukienną, naszytą odpowiednimi patkami. Od otworu wybiegają w górze małe szpiczaste klapki. Obcisła ta westka przechodzi ledwie niżej stanu, od pleców spada fałdowane kółeczko. Rękawy obcisłe, u ręki odwinięty mankiet biały sukienny. Pod spód idzie bluzka z blado niebieskiego *surah*, ułożona w drobne pliski, ujęta u szyi w opaskę; z pod tej wybiega fryzka koronkowa.

Drugi kostyum biały pikowy. Spódnica gładka, żakietka z krótką baskiną, obcisła, otwarta na przodzie. Pod spód szmizetka *surah*, w kraty, w kolorach: pąsowym, szafirowym, złotawym, cała przymarszczona obciśnięta paskiem z białej skórki. Rękawy wązkie, białe, u ręki odwinięty mankiet w kratę.

Trzeci kostyum z jasno-szafirowego sukienka. Spódnica gładka, żakiet obcisły z baskiną gładką, wyciętą u dołu w okrągłe zęby, naszyte u brzegu trzy razy aksamitką czarną, Od otwartych przodów idą wyłogi z białego sukienka, na ramionach dosyć szerokie, niżej zwężane stopniowo. Wyłogi te naszyte w poprzek wąziuchną aksamitką czarną. Kołnierz *Medicis* lekko odwinięty od góry, naszyty odpowiednio. Rękawy wązkie mocno zachodzą na rękę.

Wiele też przygotowano do rannego ubrania krótkich żakiecików sukiennych w kolorach: pąsowym, błękitnym, zielonym i orzechowym, wszystkie naszyte pletnią czarną gładko lub fantastycznie; noszą je zwykle na odmiennych spódniczkach.

Przejdźmy teraz do sukien na popołudniową przechadzkę, z magazynu Printemps.

Suknia fularowa na tle zielonem w ciągniony deseń biały (en vermicelle). Stanik nie odcięty od spódnicy, w formie *princesse*. U dołu wolant z przodu szeroki na łokieć, w tyle wyżej jeszcze podniesiony, na przyszyciu przytwierdzony ruszą z gładkiej zielonej *surah*. Stanik wycięty czworograniasto, objęty w górze plisą z gładkiej materyi. Pod spód idzie szmizetka gipiurowa, na podwleczeniu w kolorze lilla (*mauve*), zakończona opaską i ruszą. Przód stanika ubrany koronką. Rękawy gipiurowe na materyi lilla, u ręki objęte wolancikiem.

Druga suknia z lekkiej tkaniny *voile* w jasno błękitnym kolorze (*bleu turquoise*). U dołu wolant gipiurowy, wązki z przodu, rozszerzony w tyle. Stanik wycięty, przymarszczony wpoprzek, spięty na lewym boku. Pod spód idzie szmizetka tiulowa. Pasek do tego wązki czarny aksamitny, takaż opaska u szyi z pod tej wybiega fryzka gipiurowa. Po lewej stronie, od wykroju stanika do dołu spódnicy idą rzędem kokardy, złożone z dwóch pukli aksamitnych czarnych i przymarszczonych końców koronkowych.

Trzecia suknia fularowa w kolorze lilla w rzucik z pastyli białych. U spódnicy wolant, w tyle rozszerzony, objęty u dołu i na główce ruszką z wąziuchnej wstążeczki białej. Stanik marszczony wycięty kwadratowo, na wykroju dwa wolanciki jeden nad drugim, objęte ruszką. Pod spód szmizetka biała muszlinowa cała w zakładki, zakończona u góry fryzką Z przodu na wycięciu stanika kokarda z białej wstążki, od niej koniec przeciągnięty wzdłuż stanika dochodzi do paska, zkąd spada druga kokarda - pasek także biały jedwabny.

Czwarta suknia z białego muszlinku w rzucik z listków koniczyny zielonej. U dołu biały muszlinowy wolant rozszerzony w tyle, a nad nim trzy takież falbanki, obdziergane u brzegu. Stanik krajany ze spódnicą i wycięty czworograniasto na białej muszlinowej szmizetce. Przez ramiona idzie plisa z zielonej materyi, z pod tej wybiegają trzy falbanki białe muszlinowe i tworzą epolety. Rękawy wązkie, marszczone w poprzek (*à ride*) z małym wolancikiem u ręki.

Rzućmy na koniec okiem na ubrania wieczorne do kasyna. Uważaliśmy ładną suknię białą z fularu zwanego *toile de soie*. U dołu spódnicy dane trzy rusze białe tiulowe w odstępach, od ziemi najszersza, dwie drugie zwężone stopniowo. Na spódniczkę spada druga, krótka, ledwie do kolan, z takim samym potrójnym garnirunkiem. Stanik wycięty, przymarszczony. skrzyżowany na piersiach i na plecach, ogarnirowany ruszą. Pod to gładka szmizetka tiulowa. Poniżej ramion na rękawkach tiulowych, takież same rozety. U szyi opaska jedwabna, spięta w tyle na wielką rozetę. Pasek biały jedwabny.

Inne suknie wieczorowe z jedwabnego muszlinu w kolorach lilla, różowym, bladoniebieskim, jasno - zielonym, bardzo ładnie i świeżo wyglądają. U dołu mają szeroki wolant, lub też kilka pomniejszych. Pod spód idzie lekka materya tegoż samego koloru. Muszlin jedwabny na suknię bywa zazwyczaj gumowany przez co falbanki i rusze ładnie się układają.

Kapelusze po większej części okrągłe, mają brzeg dosyć szeroki niekiedy spuszczony na czoło, to znów podniesiony w górę. Przybierają je mnóstwem wielkich kwiatów, jak: róże centofolie, piwonie pąsowe i różowe, hortensye różowe lub błękitne.

Seweryna Duchińska.

NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu

(Ciąg dalszy).

Pomimo że swadźba niewieścia nie dała bynajmniej za wygraną, wszelako widząc Antoniego tak nieprzystępnym i zamkniętym w sobie, przyczaiły się kumoszki i zaprzestały napaści otwartych, konszachtując natomiast pokątnie i wyczekując sposobności pożądanej. Przecież rychlej czy później nadejść ona musiała koniecznie wedle ich mniemania.

W chacie tymczasem szło wszystko po staremu. Tak jak za życia nieboszczki krzątała się około gospodarstwa kobiecego ugodzona na czas nieograniczony najemnica, tak samo Antoniego świt wypędzał, a zmrok wieczorny sprowadzał w obejście domowe, zwłaszcza, że i roboty wiosenne wcześniej jakoś w tym roku się zaczynały.

Czujny nadzór, jaki rozciągnęło ludzkie wściubstwo nad tem osierociałem gniazdem rodzinnem, nie przestawał zbierać najbardziej drobiazgowych wiadomości o wszystkiem co się tam działo, w chacie, w podwórzu, a wieści te komunikowano sobie z akuratnością, na jaką tylko próżniactwo i plotka zdobyć się potrafią.

— Antoni zabrał się jakoś do obróbki drzewa, i cieśla Mateusz chodzi tam z toporem

co rano; cościk szczególnego widać będą robili, bo to nie gospodarski majster z tego Mateusza. Powiadali ludzie, że i stolarz z miasteczka szedł dzisiaj — widać po swojemu zaczyna, tak jak to on lubi, żeby ludzie się dziwowali i zazdrościli. Mój Jędrek zaglądał tam przez płot chruściany i powiada, że sztachety jakieś robią sztuczne. Nie miarkuję nawet coby to być mogło.

— Przebiera się widać Antoniemu roboty— opowiadali sobie już gospodarze tym razem, a nie baby żadne — niedawniej jak wczoraj zdarł szpadlem kawałek łąki i to dobrej łąki, poukładał tę darninę na wozie i powiózł gdzieścik. W taki czas trudny!—dzisiejszego dnia człowiek sam nie wie za co wpierw ręce założyć, a ten się bawi i w dodatku psuje łąkę najlepszą. Zawdy to z niego był planetnik taki.

Tymczasem ta darń zielona posłużyć miała do obłożenia grobu nieboszczki, to drzewo obrobione i tak nazwane sztachety sztuczne, to był krzyż wraz z ogrodzeniem, w parę dni później zawieziony na cmentarz i ustawiony na mogiłce. Kiedy Antoni przyszedł z prośbą, aby proboszcz poświęcił ten znak męki, odezwał się do niego stary ksiądz tonem przychylnym:

— Tak się z tem spieszysz mój kochany jakoś; to albo bardzo dobrze znaczy, albo całkiem źle. Jeśli ci ten dług na sercu leży, zapewne że cię każdy uczciwy człowiek zrozumie, ale gdyby ci tylko tak śpieszno było rachunki z tamtą ukończyć, to znaczyłoby, że tam już jest coś przygotowanego, tak jak to wy robicie zawsze, co to jeszcze miejsce po tamtej nie ostygło, a już druga to miejsce zabiera. No, jakże?.. milczysz coś...

— Co to i mówić, dobrodzieju; oni to tam sobie zawdy coś uprzędą. Czasowi ludzie lubią się bawić, a czy im się bawić grzechem ludzkim, czy nieszczęściem to u nich jedno. Pogadają, pogniewają się trochę, a potem przestaną. Mnie to ani ziębi, ani grzeje.

— To się żenić nie myślisz jeszcze teraz?

— Ani mi w głowie.

— No, ale później—kiedyś?

— Pewnikiem tak zostanie, jak jest.

— A z dziećmi co będzie? bo to wy przecie niby przez wzgląd na nie to robicie.

— Będzie co Bóg da, a jużci nic chyba gorszego dačby im nie mógł, jak macochę w chałupie.

— A gospodarka, a to ostatnie dziecko? toż to przecie rok ma dopiero, jak mówią ludzie.

— Toż bez kobiety nie będzie i u mnie. Mam ci ja krewniaczkę, co owdowiała niedawno, a ubogie z niej kobiecisko jak mysz kościelna—tę sprowadzę i zapłacę jak się patrzy.

— Bój się Boga, żeby jakiego zgorszenia z tego nie było.

— Baba o jakie piętnaście lat pewnie starsza odemnie.

— No, mądry, jak widzę, z ciebie człowiek, mój Antoni; zrób jak mówisz, a żałować nie będziesz nigdy.

— Bóg zapłać jegomości za dobre słowo.

— Niech ci Bóg dopomaga.

Rozstali się w najlepszej zgodzie, a w trzy dni potem była gospodyni w chacie Antoniego Mroza; patrzano na nią zrazu z ukosa, boczono się nawet czas jakiś, ale powoli oswojono z tym stanem rzeczy, z tą jedynie nieprzychylną wzmianką, powtarzaną przy każdej okazyi, że licha to warto, kiedy jeden człowiek chce mieć więcej rozumu jak cała wieś.

Lata biegły. Między dziećmi Antoniego różnica była znaczna. Najstarszy Jasiek miał już jedenaście lat, kiedy ów niepożądany Marek na świat przyszedł; siostra o parę lat tylko od niego była młodszą, ten więc ostatni był z natury rzeczy trochę przybłędą — trochę ciężarem starszemu rodzeństwu, zwłaszcza że widzieli dlań przychylność ojcowską bardzo wyraźną i troskliwość, która w takich warunkach rodzi zawiść i niechęci w rodzinie. Ojciec, jak wszystkie zamknięte w sobie charaktery, przy wyrozumiałości i pewnej nawet miękkości ręki, która nikomu zbytnio nie ciążyła, miał swoją stanowczość, której stawać w poprzek niezupełnie było bezpiecznie. Jedna i druga krzywda najmłodszego dziecka, gdy ją raz spostrzegł, wywołała surowe skarcenie i zdwoiła jego baczność na sprawy domowe. Owa krewniaczka dostała instrukcye bardzo obostrzone, a biedny ojciec, kiedy z pracy powracał do domu, brał chłopca na kolana i zawsze półgłosem z nim rozmawiał. Wiedział że się wszystkim trojgu stała krzywda, ale za prawdziwą sierotę uważał tylko tego ostatniego. Tamci byli zaradniejsi, znali swoje prawa i tak łatwo pokrzywdzićby się ludziom nie pozwolili. To dziecko to była jego troska i niepokój największy.

Niebawem rodzić się zaczęło coraz więcej powodów, dla których do przywiązania jego dołączyła się pewna litość, której dla tamtych dzieci starszych uczuwać nie potrzebował. Przypadek właściwie odkrył mu, że ten Marek jego był do pewnego stopnia upośledzonym od natury, i że te jego zewnętrzne braki ludzkiej życzliwości wcale mu nie przysporzą.

Było to w trzy mniej więcej lata po śmierci żony; jakoś z jesieni zaraz, młócił Antoni wraz z parobkiem żyto na stodole, a chłopiec jak to zazwyczaj miewało miejsce, siedział sobie za wrótnią i strugał wiatraczek, którym dzieci wiejskie zwykle chętnie się zabawiają. Właśnie domłócili posadu, a że Antoniemu coraz bardziej jakoś teraz dech zapierało, wyprostował się zatem ociężale i sparł oburącz na cepach, podczas gdy parobek snopy już porozwiązywane na drugą stronę odwracał. Po zapłociu wązką drożyną szło kilka kobiet wiejskich, a że jedna z nich obca była wyraźnie, więc zapytała towarzyszek:

— A to czyj ten dzieciak?

— A czyjżeby? dyć Mrozów.

— Antoniego?

— A jakże. Mój ci to chrześniak przecie, to jużci ja go znać muszę. Marek, a chodzi jeno!

Chłopak patrzył z podełba nieufnie, ale się z miejsca nie ruszał.

— Tak to matki chrzestnej słuchasz, poganinie jeden—poczekajże!

— To jemu Marek? Patrzajcie no moi ludzie!

— A jakże. Połowa by to była biedy, żeby z niego wykolioko było jakie przynajmniej, ale przypatrzcie no się, moi ludzie, że to na całą wieś takiego paskudy drugiego nie dobierze.

— No, że się udał, to udał — niema gany. Od napatrzenia! Naznakowany bestya! Takiego zyza dowodnego na okoliczność poszukać

Kobiety roześmiały się w głos wszystkie.

— Et, niepokpiwałybyście sobie — dodała jedna z nich, krotochwilniejsza widać. Takiemu to dobrze zawdy na świecie. On nietylko to, co dzisiaj widzi, ale i krzynę tego co jutro będzie.

Znowu zawtórowano śmiechem mówiącej.

Uwagi chłopca nie zwróciło to wcale, ale w sercu ojca, który usłyszał po raz pierwszy ten wyraz „naznakowany,” mający zapewne przyrosnąć w przyszłości do jego dziecka, te kilka słów ludzkich odbiło się w sercu goryczą prawdziwą. Jużci i on widział sam, że dziecko takie jak inne nie było, zwrócił nawet nieraz uwagę na to oko jego takie dziwnie ruchliwe, a niepociągające, ale dla niego on miłym był wraz ze wszystkiemi wadami powierzchowności, a może nawet dla nich po części—im nieszczęśliwsze tem cenniejsze być musiało ono dla tego, który współczuł jego niedoli.

Zadumał się stary Antoni, westchnął, pokiwał głową znacząco, i jął się roboty, a myśli różnych kłębiło mu się w głowie moc, bo teraz już wyraźnem się stawało dla jego przeczuć nieokreślonych, że dziecko szczęścia sobie na świat nie przyniosło. „Naznakowany” brzmiało mu teraz w uszach ciągle i dlatego o tej rozmowie kobiecej zapomnieć nie mógł.

Złe nie przychodzi nigdy samo jedno.

W parę lat potem zdarzyło się, że Marek, który dlatego właśnie, że się chował sam jeden przy wyjątkowej pobłażliwości rodzicielskiej, samowolny był i psotny niezwyczajnie. Zapragnąwszy jakichś małgorzatek na gruszce, która się jeszcze otrząść nie dawała, wdrapał się na znaczną dosyć wysokość, i ztamtąd wraz z odłamaną gałęzią znalazł się na ziemi. Rezultatem tego było złamanie nogi, którą wprawdzie złożył felczer jak mógł i umiał, ale czy opatrunek był nienależyty, czy dziecko nawykłe do swobody nieograniczonej, oznaczonego czasu spokojnie przeleżeć nie chciało, dość, że wyszedł Marek z tego wypadku kaleką.

Chodzić, chodził wprawdzie bez pomocy szczudła, zdawało się nawet, że jeszcze go wszędzie było więcej, jak przedtem, ale chromał wyraźnie, i jak powiedział ten sam felczer, już to tak miał pozostać do końca życia. Ojciec biadał na złe losy dziecka, a i sam Marek usłyszawszy pewnego razu rozmowę prowadzoną o swojej nieszczęśliwej osobie, po raz pierwszy zastanowił się po dziecinnemu, nad tem, co go w życiu oczekiwało.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Zapisy testamentowe i darowizny.

W V wydziale warszawskiego Sądu Okręgowego miało miejsce w upłynionym tygodniu otwarcie testamentu ś. p. Augusta Hermana, zmarłego przed niedawnym czasem w Warszawie. Akt ostatniej woli oprócz legatów dla najbliższej familii obejmuje wedle sprawozdania „Kuryera Porannego" następne zapisy na cele dobroczynne:

a) dla kościołów katolickiego i ewangelickiego w Pszczynie na Szląsku Górnym 30 000—b) dla instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Raciborzu na Szląsku 15,000 rs., odsetki od tej summy przeznaczają się na wpisy uczęszczającej do zakładu tego niezamożnej dziatwy okręgów: Pszczyna, Rybnika i Raciborza, c) dla uniwersytetu krakowskiego rs. 6.000, jako fundusz stypendyalny dla biednych studentów z uwzględnieniem pierwszeństwa dla krewnych zapisodawcy, d) do rozporządzenia Gminy ewangelicko augsburgskiej w Warszawie dla biednych paralityków rs. 15,000,— e) do rozporządzenia Gminy ewangelicko-reformowanej 5,000 rs. z przeznaczeniem odsetek od tej summy na zapomogi dla zubożałych członków tej gminy, f) dla domu schronienia paralityków imienia Feliksa Sobańskiego w Warszawie rs. 3 000.

W razie gdyby którykolwiek z wyszczególnionych legatów dla osób prywatnych miał być nieprzyjętym przez legataryuszów, albo zarządy dobroczynnych instytucyi, połowa powstałej ztąd summy ma przejść na rzecz warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, a drugą połowę otrzyma Gmina ewangelicko-augsburska.

Razem rozporządza testament na cele ogólne summą 74,000 rs. Wykonawcą jego mianowano adwokata przysięgłego p. Oskara Schellera.

Ś. p. August Herman znany był w Warszawie jako urzędnik b. Banku Polskiego, a ostatnio jako członek konsulatu niemieckiego w naszem mieście. Dzięki szlachetnym zapatrywaniom ujawnionym w akcie ostatniej woli, zyskuje sobie to nazwisko prawo do pomieszczenia go w rzędzie dobrze społeczeństwu naszemu zasłużonych.

Oddział przemysłu drobnego przy warszawskiem Muzeum popierania przemysłu i rolnictwa, otrzymał od p. Kierbedźa dar w kwocie rs. 1,000, które ofiarodawca przeznacza na cele rozwoju tkactwa, koszykarstwa i innych gałęzi przemysłu domowego.

Przeznaczone testamentem ś. p. księdza Trembińskiego rs. 9,000 na rzecz: domu wychowawczego przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, Instytutu oftalmicznego i Towarzystwa Dobroczynności, postanowiła rada miejska dobroczynności publicznej przyjąć z zastrzeżeniem praw osób trzecich.

Kolegium Gminy ewangelicko augsburgskiej otrzymało od p. Zbigniewa Świętorzeckiego dar 10,000 rs. z obowiązkiem utrzymywania z funduszu procentowego trzech kalek niewidomych pochodzenia polskiego.

Z naszych stosunków wewnętrznych.

Jedno z większych pism codziennych w długim artykule ostrzega mieszkańców prowincyi, wróżąc im niechybne rozczarowania, w razie gdyby dla zdobycia sobie pracy i chleba odważyli się po jedno i drugie przybyć do Warszawy. Artykuł mówi o wielkiej podaży pracy i wzrastającej ciągle konkurencyi, o trudnościach i zawodach, jakie oczekują każdego, kto liczy na poparcie jednostek wpływowych i możnych, z racyi niby, że go wiąże albo wiązał z niemi bliższy czy dalszy stosunek osobisty. Wzmiankuje też pismo, że do Warszawy z byle jakim zasobem uzdolnienia w jakiejś gałęzi pracy przyjeżdżać nie warto, bo tu żądać dla siebie może ten tylko, kto istotnie coś poważniejszego z takich zasobów ze sobą przynosi. Jednem słowem artykuł przestrzega, upomina i odradza, i miałby on zupełną słuszność, gdyby odradzając, doradził zarazem co z młodością, siłami, chęcią do pracy i jakimkolwiek rozwojem umysłowym począć może człowiek młody lub kobieta młoda na prowincyi. Trzebaby to jednakże wyrozumieć, że daleko łatwiej jest powiedzieć sobie: albo zatonę — albo wypłynę, aniżeli pogodzić się z tą myślą, że wcale pływać nie sprobuję. Na to zresztą parcie ku Warszawie żywiołów młodszych i energiczniejszych składa się od bardzo dawna już wiele przyczyn, i nie w naszej mocy będzie ten ruch powstrzymać, zwłaszcza jeśli mu nic oprócz dorady pozostania tam, gdzie ktoś jest, przeciwstawić nie zdołamy. Pierwszą i najważniejszą z tych przyczyn jest zanik dobrobytu materyalnego na prowincyi, a wraz z nim zmniejszenie się zarobków dla tych wszystkich, których muskułów wyrobionych i gotowości do robót najgrubszych nie przynoszą ze sobą. A przypomnijmy sobie też i wielką gorliwość, z jaką druk bagatelizuje u nas od dziesiątków już lat pracę rolną, jakie dla niej okazuje lekceważenie, i jakie jej ostatnie wśród ostatnich miejsce w mechanizmie społecznym naznacza. Takie hasła wydają owoce, i to się bez wpływu na umysły obejść nie mogło. To się musiało odbić na massach koniecznie i tego kierunku mamy dowody niezbite w instynktowem i wyrozumowanem stronieniu sił młodych, wyższego i niższego rozwoju, od wszystkiego co jest życiem z przyrodą i od wszystkiego co z pracą rolną, jej gałęziami pomocniczemi w jakimkolwiek związku zostaje. Reakcya w kierunku przeciwnym, właściwie mówiąc, dopiero się u nas rozpoczyna i to bardzo powolnie, dopiero przecieramy sobie z grubsza oczy z tego zaślepienia i mówić się ośmielamy o polach różnych użyteczniej pracy poza obrębem murów miejskich, a zatem: o ogrodnictwie, hodowli pszczół, fabrykacyi przetworów owocowych i domowym wogóle przemyśle wiejskim. Dotąd huczały nam po biednych głowach naszych tysiącopudowe młoty wielkiego przemysłu, bo dotąd natchnieni ekonomiści swojscy prawili nam ciągle po więcej lub mniej dowcipnych felietonach, że z rolnictwem wyraźnie skończone u nas, ale że to nic nie szkodzi, bo co straciliśmy na tej gałęzi pracy, to powetujemy sobie z nawiązką w przemyśle. No i powetowali sobie to istotnie ludzie na gruncie naszym, tylko ci ludzie nie wyszli z pomiędzy nas i nie zostaną nigdy między nami, bo nie są ludźmi naszymi, ale za to odciągnięty przez nich od zajęć rolnych tłum sielski, przerodził się w najnieszczęśliwszy i najmniej pożądany z proletaryatów, na który dzisiaj bez trwogi i smutku wielkiego nie może spojrzeć nikt z tych, co patrzeć jasno, sądzić trzeźwo i jako tako przewidywać potrafią.

Nie składamy tutaj, rozumie się, całej winy na hasła epoki i nawoływania dziennikarskie swojego czasu, bo takie sprawy regulują przedewszystkiem konieczności ekonomiczne, i im też zawdzięczamy głównie to, co jest dzisiaj w stosunkach naszych wewnętrznych niepomyślnego i anormalnego nawet do pewnego stopnia, ale nie sądźmy, żeby bez wpływu na umysły i tamta lekkomyślna nasza własna robota pozostała, bobyśmy jeszcze raz dowiedli, że lubimy sobie tanim kosztem oczyszczać sumienia i uspokajać ich wyrzuty. To trudno! przyklaskiwaliśmy temu co się na oczach naszych spełniało, szydziliśmy, dworowali sobie z tamtej pracy — nie dziwujmyż się wstrętowi, który się powoli ku niej w duszach ludzkich wytworzył—nie dziwujmy tłumnemu opuszczaniu roli i ciągłej ucieczce do miast i ognisk ruchu przemysłowego. Ta rola to dzisiaj istotnie wyschłe łono macierzy, które już nikogo żywić nie chce, bo nie może.

A przytem weźmy i to w rachunek, co dodatkowo niesie na odległą prowincyę to piśmiennictwo nasze peryodyczne. Przecież to wieje z tych łamów łatwość bytu, bezkłopotliwość i powódź uciech codziennych w tem błogosławionem życiu miejskiem. Czytający na prowincyi wiedzą przecież, że tu nie wszyscy spoczywają na milionach, a mimo to ten stół biesiadny nie dla samych możnych musi być zastawiony. Karnawały letnie i zimowe, widowiska, opery, operetki, corsa, i ta cała atmosfera zbytku i blasku, przecież ona daleko, daleko rozchodzi się za pośrednictwem druku. Nie dziwmyż się, że ona odurza i pociąga — nie dziwmy się naszej emigracyi do miast, bo ona trwa już oddawna, i nie rychło się skończy z pewnością, a przytem myśmy też do niej swoją cząstkę wpływów dołączyli z pewnością największą.

Wskazówki i rady.

Rada dla gospodyń.

Zawsze narzekamy na swąd idący z kuchni do pokoju, nie wszyscy bowiem mają już kuchnie gazowe, które nigdy nie swędzą. Otóż w całych Niemczech i Prusach nigdy niema swędu, bo tam codziennie po obiedzie kucharka czyści wiechciem wilgotnym zmaczanym w popiele z węgli kamiennych blachę, oraz piecyk do pieczenia, aby swąd od kipiącej tłustości na blachę w ciągu gotowania, zniszczyć. To też tam blacha jest zawsze czysta jak u nas nie zawsze w pokojowych piecach. Czyby to za staraniem naszych gospodyń nie dało się wprowadzić u nas?

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50—45

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✽ ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—25 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH

Marszałkowska 136 róg Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.
916—25—4

Zakład Ogrodniczy
W. Urbańskiego

b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye. Ceny przystępne. 912—12—5

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-23 przyjęcie od 9 do 6:
Chmielna N-r 16. m. 4.

Maszynki do mięsa bez noży
Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni
Maszynki do zszywania próbek
Rowery damskie 898-15-7
polecają:
JULJUSZ HEGNER i S-ka
WARSZAWA
Plac Ś-go Aleksandra № 8.

W.W. Paniom
Wyborowe i zawsze świeże
Ciasta i Cukry
poleca 914—20—5
CUKIERNIA
W. Ładewskiego
Leszno Nr. 14.

„Sudoriverat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-5

Pierwszorzędne biuro **Michaliny Ptak i Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego.
904—25—3

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Sukien
J. Królikowskiej
Niecała № 7, Marszałkowska № 114.
Polecają najnowsze fasony na każdy sezon po cenach umiarkowanych. 726—25—22

Po dziesięcioletniej praktyce w pierwszej haftarni Panny Bobrowskiej, otworzyłam pracownię haftów i przyjmuję roboty maszynowe i ręczne. 759-24-19
Miodowa Nr. 1.
miesz. 17, 2 brama 1 piętro

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-33

NANON
najlepsza, najtańsza pomadka, dostać można wszędzie. 866—13—9
D. Sukiennik
Królewska 16.
NANON



Specyalna reperacya
i pokrycie parasoli tanio
Ordynacka Nr. 15.
WILHELM SCHESZ.
931—6—1

Nowy Zakład Naukowy Żeński
z pensyonatem w Warszawie
BRONISŁAWY JASTRZĘBOWSKIEJ
otwartym zostanie z początkiem Września 1898 r.
Zapisy do klasy wstępnej, pierwszej, drugiej i trzeciej odbywają się codziennie w lokalu pensyonatu Marszałkowska 74.
896A—4—2

Ważne dla pp. Krawcowych!
Kroazy we wszystkich kolorach, Niciaki, Towary Norymberskie i wszelkie dodatki do sukien po cenach najniższych 758-25-19
poleca Magazyn
M. SADOWSKIEGO
7. PODWALE 7.

W 6-cio klasowym zakładzie naukowym żeńskim z klasą przygotowawczą i pensyonatem
Jadwigi Kotwickiej
przy ulicy Brackiej Nr. 18, w Warszawie
zapis uczennic na rok szkolny 1898/9 rozpocznie się dnia 20 Sierpnia. Egzaminy dla nowowstępujących odbędą się dnia 1 i 2 Września. Kurs nauk 3 Września. 928—2—1

od rs. 125 ROWERY DAMSKIE od rs. 125
poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY"
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—7 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością.

SKŁAD MATERYAŁÓW APTECZNYCH
PROWIZORA FARMACYI **B. HEIMANA**
Nowo-Senatorska 8, obok Placu Teatru — poleca
WODĘ MINERALNĄ
REICHENAUER SALZBRUNNEN
jako orzeźwiający napój stołowy.
Do nabycia we wszystkich aptekach i składach aptecznych.
Skład główny na miejscu. 876-12-12

Są do nabycia w księgarniach podręczniki naukowe pedagoga **P. v. Reussnera** p. t.

„SAMOUCZEK"
Polsko-Francuzki

do nauczenia się po francusku czytać, pisać i rozmawiać, w **2-ch miesiącach bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowaniem. Przy pomocy podręcznika tego mogą się uczyć tak dobrze dzieci, jak również młodzież dojrzalsza, osoby dorosłe, mniej nawet umysłowo rozwinięte, nieznające jeszcze wcale języka francuzkiego i gramatyki polskiej, ale umiejące po polsku czytać, a także i osoby, znające już język francuski pobieżnie. Nauka według podręcznika tego jest nadzwyczaj ułatwioną i uproszczoną. — Nazwa **„Samouczek"** nie jest czczym tylko tytułem, lecz istotnie treść jego zastosowana jest do tytułu i według podręcznika tego nauczy się po francusku każdy, kto tylko zechce i kto umie czytać po polsku. Główną zaletą tego dzieła są krótkie, jasne, zrozumiałe objaśnienia gramatyczne i łatwe ćwiczenia. Jest to pierwszy, rzec można praktyczny podręcznik obszerniejszy do nauki języka francuskiego, opracowany oryginalnie na podstawie osobistych doświadczeń pedagogicznych autora, zastosowany do ducha języka polskiego i potrzeb miejscowych, gdy tymczasem wszystkie inne dotychczasowe podręczniki podobnego rodzaju, opracowane za granicą, a dopiero tutaj tłómaczone na język polski, mogą być dobre dla niemców i t. p., ale nigdy dla polaków. Że podręcznik ten w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu, świadczy o tem już samo dobre przyjęcie pierwszych zeszytów i wyrażenie zupełnego zadowolenia przez Szan. abonentów tak ustnie, jak i piśmiennie. Dzieło to obejmuje: **Kurs Niższy** 13 cie zeszytów, **Kurs Wyższy** 24-ry zeszyty — razem 37 zeszytów, stanowiących **Część Praktyczno-Konwersacyjną,** i 10 zeszytów **Gramatyki Francuzkiej,** ogółem więc 47 zeszytów po kop 15 (pocztą kop. 18). Numeracya zeszytów idzie kolejno, zatem należy zamawiać w księgarniach zeszyty **podług numerów,** to jest 1, 2, 3, 4 i t d, aż do 47, a nie podług kursów. **Kurs Wyższy „Samouczka"** z I ej edycyi nie jest kompletowany w jeden tom, lecz pozostaje w zeszytach, aż do wyczerpania edycyi.

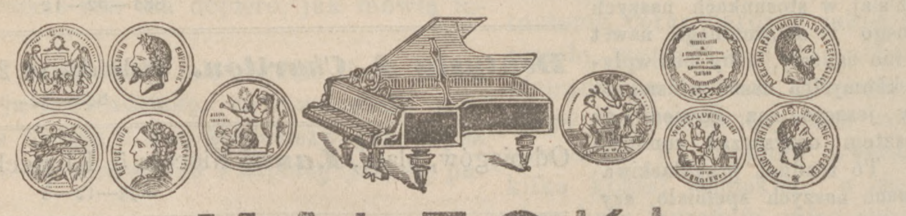
Kurs Niższy tegoż **„Samouczka"** wyszedł już z druku w **Trzeciej edycyi** w 13 zeszytach po kop. 15 (pocztą kop. 18), zaś **Kurs Wyższy w Drugiej edycyi** wyjdzie z druku z końcem 1898, lub w początku 1899 roku.

Na zaliczkę pocztową wysyła się tylko 20, 10, lub przynajmniej 6 zeszytów.

Osoby, nabywające wszystkie 47 zeszytów **„Samouczka"** wprost **od autora,** otrzymają **podarek bezpłatny** t. j. dzieła wartości **rs. 1 k. 20.**

„Samouczek" **Polsko-Ruski Kurs Niższy** wyszedł z druku w 14 zeszytach po kop. 10, **Kurs Wyższy** zaś zaczął wychodzić zeszytami po kop. 10 (pocztą kop. 13). Tak **„Samouczek"** Polsko-Ruski, jak również i Polsko-Francuzki został opracowany jedynie na **wyraźne żądanie** i **domaganie się** Szanownej Publiczności i Pp. Pedagogów.
Skład główny u autora (Reussnera) ul. Złota Nr. 6, w Warszawie.
912—2—2

ZAKŁAD GALWANICZNY L. Kardaszyńskiego
ulica Czysta Nr. 8 w Warszawie.
Przyjmuje do reperacyi i odnawiania wszelkie wyroby z różnych metali po możliwie nizkich cenach. Stołowa robota z 2-letnią piśmienną gwarancyą. 760—25—19



MAŁECKI
Fabryka Fortepianów i Pianin
Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—14
17. Krakowskie-Przedmieście 17.

Ryga.
w prywatnym pierwszorzędnym zakładzie naukowym żeńskim
Anny Jastrzębskiej. Elisabetstr. 55.
zapis uczennic rozpoczyna się 7/19 Sierpnia. Egzaminy wstępne odbywać się będą 18/30 i 19/31 Sierpnia; lekcye zaczynają się 20 Sierp (1 Września)—w klasie dla dzieci rozpoczynających naukę 1/13 Wrześn
924—3—2

Marszałkowska 149. 922-12-3 **MAGAZYN MEBLI MAKSYMILIANA KALMUS.** *Marszałkowska 149.*

APTEKA K. WENDY 45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.
873-18-13 Istniejąca od czasów elektorów saskich.
Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Іюля 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Jaśnie Wielmożny Grafie, przez piętnaście lat służby nie słyszałem jeszcze tak gorzkich wyrzutów. Od świtu do nocy ciężko pracuję nad pańskiem dobrem. Dziesięć dni temu żyd przyjechał, dopominając się o pieniądze. Odprawiłem go z kwitkiem. Zadarł nosa do góry, począł szumieć, na całe gardło przed ludźmi wykrzykiwać. Kazałem wyszczuć go psami. Onegdaj znowu się zjawił ale tym razem w towarzystwie komornika. Chciał tradować inwentarz, zabierać sprzęty, pieczęcie na drzwi przykładać. Nie było rady. Łotr, nie pozwalał wspominać nawet o układach. Myślałem nasmarować łapę komornikowi, ale Szmul widać z duszą i z ciałem był go zakupił. Nalegałem o dwa dni zwłoki, o czas na wyprawę listu i otrzymanie od JW. Grafa odpowiedzi. Napróżno! Żyd zatykał uszy—na komornika coraz silniej nastawał. Po długich korowodach, zgodził się wreszcie na zwłokę, z warunkiem, że mu natychmiast wypłacę czwartą przynajmniej część długu: pięćset dukatów.

— Ciemięga z acana! Raz już wyrzuciłeś żyda za bramę, mogłeś i drugi raz tak samo sprawić się z komornikiem.

— Kryminalny proces, JW. Grafie; nie śmiem brać na siebie podobnej odpowiedzialności.

— Drwisz acan! Znasz moje stosunki we Lwowie i w Wiedniu. Raczej dziesięć procesów, aniżeli jedno takie głupstwo, dziś już nie do naprawienia. Proces za wypędzenie żyda i komornika? Ależ niema sędziego, któryby chciał w podobnej sprawie palec na mnie zakrzywić. Przecież, dzięki Bogu, żyjemy w kraju ucywilizowanym, gdzie nie hołota sprawiedliwość wymierza.

— Słusznie JW. Graf mówi... Straciłem głowę.

— Mniejsza o to. Acan prędzej doczekasz się powrotu twojej głowy, niż ja moich pieniędzy. Od piętnastu lat, jak powiadasz, wiernie mi służysz. Tem gorzej. Nie dziwiłbym się, gdybyś pierwszego roku był podobnego bąka ustrzelił, ale po piętnastu latach służby, po piętnastu latach znajomości moich interesów, moich zwyczajów, moich stosunków, moich potrzeb, — wciągnąć mnie w podobne błoto!... nie, to nie do darowania! Kto mi zaręczy, że jutro, że dziś, zaraz, natychmiast, pierwszy lepszy obszarpaniec nie wpadnie z rewersem i znowu tak acana nie wystraszy, że mu w nocy pościel z podemnie wyciągniesz, że, aby sam wyleźć z kłopotu, ostatnią łyżkę, ostatni mój rondel mu oddasz?... Dość tego! Piętnaście lat u mnie służysz; jutro będziesz mógł powiedzieć, że piętnaście lat służyłeś. Wybaczysz, jeżeli przez dwadzieścia cztery godzin nadużyję jeszcze twojej gorliwości, poczem rozrządzisz sobą według upodobania... Uwalniam acana od obowiązków.

Lumpman pochylił głowę, usiłując przyoblec na twarz wyraz ciężkiego frasunku.

— JW. Graf wypędza mnie?

— Bynajmniej; po tem atoli, co zaszło, nie możemy dłużej razem pozostać. Trudno! straciłem do acana zaufanie.

— Rachunki, które za chwilę będę miał zaszczyt złożyć, dowiodą, o ile nie zasłużyłem na podobną nieufność. JW. Graf, w mądrości swojej, oceni rzetelną wartość moich usług, przekona się, czyli we wszelkich uczynkach pańskiego dobra przedewszystkiem nie miałem na celu, z zapomnieniem, ba! nawet często z uszczerbkiem własnego.

— Ha, ha, ha! przewybornie! wyśmienicie! wolne żarty! Acan zechcesz mi teraz dowieść, że w mojej służbie nadweręźyłeś własny twój majorat, po ś. p. twoim rodzicu?... Trzeba przyznać, że zabawną gramy komedyę. Zapominasz acan przed kilkunastu laty Lumpmana, chudego we Lwowie kancelistę, który świecił łokciami, chodził na cholewach, i tylko dzięki mojej protekcyi, wykręcił się z nader nieprzyjemnej, jak mówiono, sprawy, w jaką go była zaplątała gadatliwość gubernialnego rachmistrza?

— Pamiętam,—odparł Lumpman, przygryzając usta—pamiętam łaskę JW. Grafa. Do śmierci też wdzięczność dochowam; co wieczór przykazuję dzieciom, aby modliły się za szczęście pańskiego domu. Pamiętam również, że jeżeli Bóg pozwolił wydostać się z biedy, oczyścić z niegodziwych potwarzy, winienem to szczególnej opiece JW. Grafa, kilkakrotnym nadetatowym wynagrodzeniom za wierne usługi, a trochę też i własnej oszczędności. Ostatni dozorca folwarczny żyje lepiej odemnie. Rachunki przekonają, że od trzech lat grosza nie wybrałem zasług, że nawet od przeszłego Ś. Jana w czterech razach naglące wydatki opędziłem z własnej kieszeni. Nie chciałem upominać się, trudzić drobnostkami JW. Grafa. Na szczęście, rachunki mam w pogotowiu, kwity pańskie własnoręczne w porządku, i jeżeli jutro mam dwór opuścić, JW. Graf dziś jeszcze się przeświadczy...

Sokolnik bacznie ważył w myśli każde słowo, które rządca jego zwolna cedził jedno za drugiem. Pohamował gniew srogi, opuścił ton wyniosły; na wzmiankę bowiem o rachunkach odgadł, że Lumpman, przed ciosem odprawy, zasłaniał się, jak puklerzem, należnemi sobie od trzech lat zasługami i wyłożonemi z własnej kieszeni pieniędzmi.

Siły obu stron nagle zmieniły stosunek; szala w mgnieniu oka opadła na korzyść danego kancelisty.

Sokolnik, w same piersi ugodzony niespodzianym argumentem, daremnie wspinał się na palce społecznego znaczenia; Lumpman bez miłosierdzia chłostał go grubym pękiem rachunków, lub o dno próżnej jego kasy, pełnemi garściami niewypłaconych kwitów, złowrogą wydzwaniał mu wróżbę.

Wypadek sporu nie był wątpliwym; własna godność i bezpieczeństwo doradzały raczej wdać się w układy. Sokolnik, biegły woźnica, zawrócił na miejscu.

— Niepotrzebnie — mówił z udaną tym razem grozą — prawisz mi acan o swoich zaletach. Wiem, że jesteś oszczędny, zabiegły, gospodarny. Znam twoje zdolności, umiem cenić przywiązanie do mego domu, i dla tego też właśnie oburza mnie postępek, który nie dziwiłby wcale w człowieku mniej zręcznym, wiernym, gorliwym. Wprawdzie od kilkunastu lat pokazujesz mi acan pierwszy dopiero powód niezadowolenia, sam atoli przyznaj, czyli mogłeś go dać w mniej stosowną porę? Wam wszystkim zdaje się, że my, panowie, rozkładamy się na różach. Minęły te czasy. Dziś, lada cham przy barszczu i razowym chlebie, szczęśliwszy od magnata, obarczonego ciężarem znakomitego nazwiska, zmuszonego sumiennie podtrzymywać sławę przodków i własną swoją godność. Bądź-że dziś jednym z pierwszych dygnitarzów J. C. Apostolskiej Mości, utrzymuj przyzwoity ton, karm chmarę swoich i cudzych darmozjadów, i pomimo to zacieraj ręce z radości, ile razy żyd obedrze cię z długo oczekiwanych, niezbędnych pieniędzy. Nie! nie! panie Lumpman, ciężki klin zapuściłeś mi w głowę. Niech ci Bóg tego nie pamięta, jako ja zapomniałem już, co rzekło się przed chwilą względem two jego oddalenia.

Lumpman szydersko układnym wzrokiem pociągnął po Sokolniku, i skłonił się głęboko.

— Wola JW. Grafa — rzekł—będzie zawsze najświętszym dla mnie rozkazem.

— Wola moja! rozkaz! czcze słowa! Wiesz dobrze, że w tej chwili mam niezłomną wolę wydobycia się z kłopotu, w jaki mnie wpędziłeś; co zaś do rozkazu, jeżeli ten w istocie ma jakie znaczenie, weź go, czyń co chcesz, szukaj środków, byleś go tylko wypełnił. Nawarzyłeś piwa, wypij je teraz; mówiłeś o gorliwości twojej w usługach, daj mi jej dowód; czekam na radę.

— Rada, jakiej Jaśnie Wielmożny Graf wymaga, jest tak łatwą, że nie warto się nad nią zastanawiać.

— Nie rozumiem cię.

— Idzie o zastąpienie pięciuset dukatów, zarwanych przez Szmula Goldberga? JW. Graf potrzebuje tej sumy?

— Bezwątpienia; w tej nawet chwili poprzestałbym na połowie. Ś. Jan za pasem... Siadaj że, panie Lumpman, Ś. Jan, powtarzam, niedaleko; wpłyną nam pieniądze za czynsze, za wełnę, za dzierżawy. Przeciw żydowskim zasadzkom potrzymamy się tym razem na ostrożności. Kupno karecianych koni odłożę do końca przyszłego miesiąca. Wiesz zapewne, że gniada zdechła mi we Lwowie, a kary tak okaleczał, że musiałem go sprzedać prawie za cenę skóry.

— Pierwsze słyszę!—odrzekł Lumpman głosem współczucia dla gniadej i dla karosza.

— Niedbalstwo ludzi; furman hultaj, zalewa się gorzałką. Daj mu od siebie przyjacielską naukę i przyrzecz, że za pierwszem wykroczeniem, z żoną i z dziećmi wyrzucisz go za bramę.

— Rozmówię się z nim; ależ JW. Grafowi nie wypada niedobraną parą choćby na folwark wyjechać. Kupna koni odkładać nie należy, tem bardziej, że na tysiącu dukatach, które pojutrze będę miał zaszczyt wnieść do

kasy, śmiało będzie można paręset na ten cel odłożyć.

— Tysiąc dukatów!? na honor, panie Lumpman, jesteś alchemistą.

— Sługą wiernym JW. Grafa—niczem więcej. JW. Pan wie, że wskutek przeszłorocznego nieurodzaju i zarazy na bydło, rząd wyznaczył dla chłopów zapomogi. Na dobra nasze przypada przeszło tysiąc dukatów; jutro termin wypłaty.

— Rozumiem! zgaduję! szczęśliwa, trafna myśl! Chłopom będziem mogli udzielić na zasiew zboża ze skarbowego śpichlerza. Zapewne! Gdyby nawet który niezbędnie potrzebował wołu lub szkapy, każ mu wydać z własnego mojego inwentarza i zaciągnąć w księgę długową. Niecierpię między mymi ludźmi niedostatku, nienawidzę narzekań.

— JW. Graf jesteś ojcem dla swoich poddanych.

— Tak zawsze w moim rodzie bywało. Lud wiejski to dalsza część pańskiej rodziny. Jutro ze świtem weźmiesz ze sobą potrzebne papiery i udasz się do Gubernium. Dam ci własnoręczny list do dyrektora wydziału.

— Chciałem nie tracić czasu i dziś jeszcze na noc wyruszyć. Wszystko mi jedno przespać się na bryczce lub w domu.

— Czyń według upodobania; nie przeszkodzi ci to jednak zjeść z nami obiad.

— JW. Graf jest zbyt łaskaw.

— Pamiętaj stawić się za pierwszem uderzeniem kuchennego dzwonka. Rosół nie czeka na nikogo.

— JW. Graf zna moją akuratność.

Sokolnik pożegnał ręką zacnego intendenta; Lumpman cofał się w głębokich ukłonach dopóki plecami drzwi, a ręką klamki nie namacał.

Dygnitarz rozpogodził czoło.

Wybieg obrotnego rządcy otwierał przed nim dwa przynajmniej miesiące niczem niezachmurzonej przyszłości. Dwa miesiące błogiego spokoju za garść złota!... Jeden tylko Sokolnik mógł nabyć podobny skarb za równie lichą cenę. Przez dwa miesiące najmniejsza plamka nie miała sposobu wedrzeć się na błękit jego żywota!...

Czas próżniakowi tylko dłuży się i cięży Sokolnik zbadał teoryę rozkładu zatrudnień i tak umiał czasem rozporządzić, że nikt nie widział go ziewającego, chyba z głową na poduszce.

Z rana, owinięty w szerokie fałdy szlafroka udzielał posłuchania podwładnym.

Pierwszym na wstępnej liście, — tym, którego w żadnym wypadku nie wolno było uprzedzić, — był kucharz.

Sokolnik, dokładnie oznajomiony z historyą świata, pamiętał ile klęsk spadło na ludzkość, ile stoczono krwawych wojen, ile przegrano stanowczych bitew, ile potracono koron, lub zgubiono znakomitych rodzin, jedynie dla źle często strawionych pokarmów w żołądkach możnych tego świata. Swoboda myśli, bystrość pojęcia, żywość uczuć, zależały od regularnego ruchu organów mózgowych; mózg nawzajem czerpał wszystkie siły z żołądka, ten zaś ostatni, za najlżejszą obrazą, nielitościwie mścił się nad głową i wprawiał ją w bezwładność. Żołądek, *ergo*, był głównem kołem człowieczej maszyny, kółem, którego doskonałość i smarowidło nie mogły przezornemu umysłowi nastręczyć dosyć uwag.

Sokolnik w tym względzie nie miał sobie nic do wyrzucenia.

Z religijną pieczołowitością pielęgnował koło swej maszyny; ważył w myśli, rozbierał, wyjaśniał biegłym sporem każdy artykuł obiadowej listy, którą przy samym wstępie kucharz podawał mu na srebrnym talerzu.

Niekiedy uderzał się w czoło, jakby rażony niespodzianem natchnieniem.

Nowa kombinacya przyprawy lub sosu stawała mu przed wyobraźnią. Myśl zstępowała nań w wszechwładnej potędze przyczyn i skutków; roztaczał ją w całej delikatności zarysów przed osłupiałym z podziwu kucharzem; jako genialny chemik lub farmaceuta, oznaczał prawie co do atomu wagę wchodzących do wynalazku żywiołów, obrachowywał czas waru i natężenie ognia, potem, gdy objaśnienie wytłumaczył był co do najmniejszego szczegółu, dla odmalowania uczucia, jakie myśl jego, ujęta w kształt rzeczywisty przez kucharza, miała sprawić na podniebieniu, zwykł był przykładać do ust pięć w jeden punkt skupionych palców i nagle roztwierać je, od rzucając rękę z pewnem cmoknięciem, jakby gonił w przyszłości za pasmem lubych wrażeń, przebiegających od końca języka aż do żołądka.

W dniach, których poranek cechowały dowody podobnej twórczości, dygnitarz nie zdejmował uśmiechu z oblicza. Wyraz tajemniczego tryumfu promienił mu czoło; z miłą hipokryzyą przemawiał do żony; nucąc przez zęby melodyę pełną ukrytych znaczeń, prowadził córkę do stołu, aż dopiero, gdy tajemnica odkryła się jasno, jak na talerzu, obecni zgadywali przyczynę wesołych usposobień Grafa.

Sokolnik cieszył się powszechnym stołowników zachwytem, i wnet chrzcił wynalazek imieniem osoby najwięcej w nim smakującej.

Pamiętniki, jakie kucharz miał obowiązek w tym przedmiocie utrzymywać, były nader ciekawe.

W przeciągu niespełna sześciu miesięcy wynaleziono trzy sosy, dwa pudyngi, jeden majonez, oraz cztery nadzienia. Frykas z kuropatw, zaostrzony oliwkową przyprawą i ochrzczony nazwiskiem „*à la Basia*”, przypominał, że pani domu miała za patronkę Ś. Barbarę. Jeden krem i dwie galarety z owoców pod tytułem „*à la Marysia*”, godnie odpowiadały innym zaletom pięknej Sokolniczanki. Cąber jeleni z truflami i z winną podlewą, kapłon z daktylowem nadzieniem „*à la Sokolnik*”, jakoteż szczupak na bulionie „*à la ksiądz kapelan*”, w niczem nie ubliżały okolicznej w żarłozofii sławie wynalazcy.

Z powyższych szczegółów nie należy przecie wnioskować, aby Sokolnik miał być zatwardziałym materyalistą.

Przeciwnie. Graf, jak go służba nazywała, pojmował związek między ciałem a duszą; nakarmiwszy pierwsze, drugiej bynajmniej na głód nie wystawiał.

Tuż za odchodzącym kuchmistrzem, drzwi zwolna, tajemniczo się otwierały, i potulnym krokiem wsuwał się do komnaty pałacowy kapelan.

Ksiądz Serafion Tapczyc, alumn Jezusowego lwowskiego zgromadzenia, miał z urzędu powierzoną sobie straż nad zbawieniem jaśnie wielmożnych dusz pańskiej rodziny.

Dusza gospodarza domu najmniej mu dawała zatrudnienia. Rozparta wygodnie w ziemskiej swojej pokrywie, wcale nie trudziła się wycieczkami po sferach nieskończoności. Dobrze jej było na tym padole płaczu; przymioty zaś właściwe jej naturze, wynoszące ją nad poziom tłumu dusz gminnych, obiecywały w zaświatowym bycie godne jej stanowisko.

Sokolnik nie był chłodnym katolikiem. Oprócz kapelana, którego utrzymywał z własnych funduszów, proboszcza wiejskiego czasami sadzał u swego stołu, i kilka razy do roku, podczas świąt, z pałacowej piwnicy słał mu podarki. W okolicy, między szlachtą, uchodził pomimo to za encyklopedystę, umiał bowiem na pamięć wszystkie prawie anegdoty o Wolterze.

W tych to ostatnich zapewne źródłach czerpał łatwość do sporów teologicznych i wagę dylematów, jakie często i z upodobaniem kapelanowi do rozwikłania zadawał.

Rozmowy te zwykle toczyły się sam na sam, pani nierada im uczestniczyła; obecność zaś Maryi byłaby nieodbicie przeszkadzała wprowadzeniu większej części kwestyj w najciekawszych ich szczegółach.

Ksiądz Tapczyc, zagadnięty o wiarogodność cudów, o bezżeństwo duchownych, zwłaszcza zaś o skuteczność postów, bronił się, jak mógł, powagą Ojców Kościoła, wyrokami Soborów, bullami papieżów. Sokolnik dowodził, że w każdem zgromadzeniu większość przystępniejszą była fałszowi, aniżeli prawdzie; wyrzucał pychę i zbytek duchownej hierarchii, przytaczał papieży Jana XXII, lub Aleksandra VI, z domu Borgia, który...

Kapelan z poszanowaniem przerywał dalszy ciąg cytacyi. Przyciśnięty argumentem, przyznawał, że hrabiemu trudno było dotrzymać placu—i uciekał w niezdobytą fortecę okapturzonej wiary.

Sokolnik nawzajem szlachetnie korzystał ze zwycięztwa; w zamian za uległość księdza, przyznawał mu z uśmiechem nieśmiertelność duszy i osobistość Boga.

Na podobnych, mniej więcej platońskich dyalogach, stosownie do pory, w pałacu lub w ogrodzie, schodził poranek. Sokolnik przystrajał następnie ciało, ruszał w odwiedziny do żony i do córki, czasami rzucał się w krzesło, słuchając fortepianu Maryi, wybijając takt nogą; po chwili jednak niespokojnie zrywał się na nogi, przechadzał się żywym krokiem, wyglądał oknem, chmurzył czoło, aż dopóki widok ciągnącego od kuchni lokaja z ujętą za uszy wazą, nie wracał mu nagle pogody oblicza i łagodności uśmiechu.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).